

Gaszenie ognia oliwą, czyli rozgrywka Trumpa na Bliskim Wschodzie

Donald Trump zapowiedział uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela i przeniesienie tam ambasady USA. Jego deklaracja wywołała medialną nawałnicę, oskarżono go o sprzyjanie Izraelowi, torpedowanie bliskowschodniego procesu pokojowego i pozbawianie się roli mediatora w konfliktach w regionie. Na ile zasadne są te oskarżenia? – zastanawia się Przemysław Mrówka, analizując historyczne uwarunkowania bliskowschodniego konfliktu

Bliski Wschód jest miejscem o największej liczbie punktów zapalnych na całym globie. O Ziemię Świętą ścierano się niemal od początku zarówno z racji jej znaczenia duchowego, jak i strategicznego. Niemal każde imperium w dziejach świata walczyło o ten region: Asyria, Egipt, Grecy, Rzymianie, Bizancjum, Turcy Seldżuccy i Osmańscy, Arabowie, królestwa Europy chrześcijańskiej, aż po Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone, wszyscy dążyli do zajęcia Ziemi Świętej lub chociaż jej kontrolowania. W XX wieku pomiędzy ich działaniami a wzajemną wrogością miejscowej ludności chrześcijańskiej, żydowskiej i muzułmańskiej zachodzi mechanizm sprzężenia zwrotnego. Im bardziej napięcia lokalne rozpalają konflikt tym chętniej inne kraje się w niego angażują i im mocniejsze jest to zaangażowanie, tym głębiej przebiegają konflikty lokalne.

Przez większą część historii tarcia między ludnością były tonowane przez kraje, do których w danym momencie Palestyna należała. Ulega to stopniowej zmianie w latach 1881-1947, kiedy w toku kolejnych alij ludność żydowska migruje do Ziemi Świętej. Brytyjczycy, pod których protektoratem znalazła się Palestyna po Wielkiej Wojnie, próbowali kontynuować politykę poprzednich imperium uspokajając wzburzone nastroje, sytuacja jednak coraz bardziej wymyka im się z rąk. W 1947 roku Londyn ogłasza, że nie jest już w stanie spełniać swoich zadań jako mandatariusz i zrzeka się zobowiązań na rzecz nowopowstałej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ta zadecydowała podziale Palestyny na dwa państwa, żydowskie i arabskie, Jerozolima zaś miała pozostać miastem międzynarodowym obu grup pod administracją ONZ. Społeczność żydowska zaakceptowała kompromis, z kolei Liga Państw Arabskich i społeczność arabska go odrzuciły. W efekcie zaraz po ogłoszeniu powstania państwa Izrael, Egipt, Syria, Jordania, Liban i Irak zaatakowały go i przegrały. Pokłosiem wojny o niepodległość była zaciekle nienawiść belligerentów, otwarcie pola do interwencji dla dwóch mocarstw, między którymi właśnie zaczynała się zimna wojna oraz nierozwiązana kwestia Jerozolimy.

Przez dwadzieścia lat podzielona ona była na część wschodnią i zachodnią, odpowiednio arabską i żydowską. Starcia na tej granicy nie przeradzały się jednak, jeśli pominąć zaangażowanie Izraela w kryzys sueski, w otwartą wojnę. Dopiero w 1967 roku wybucha wojna sześciodniowa, w której efekcie wojska arabskie zostają zmiażdżone przez armię izraelską. Dzięki lepszemu dowodzeniu, rozpoznaniu, wyszkoleniu i sprzętowi Żydom udaje się odeprzeć inwazję na ich kraj i rozszerzyć jego granice, zajmując między innymi półwysep Synaj i wschodnią Jerozolimę.

Uznanie Jerozolimy za stolicę państwa Izrael nie jest pomysłem Trumpra. Decyzję podjął Kongres Stanów Zjednoczonych ogłaszając 24 października 1995 roku Ustawę o Ambasadzie w Jerozolimie

Zostawiając na boku rozważania, na ile zasadne i słuszne jest przyznanie sobie rekompensaty terytorialnej przez państwo, które padło ofiarą ataku, skupić się należy na posunięciach, które nastąpiły po zawieszeniu broni.

22 listopada 1967 Rada Bezpieczeństwa ONZ wystosowała Rezolucję nr 242, której najważniejszymi punktami były, między innymi, wycofanie się wojsk izraelskich do granic ante bellum, jak również wycofanie wszelkich żądań terytorialnych i politycznych przez obie strony. Następnego dnia Gunnar Jarring, szwedzki dyplomata ONZ, rozpoczął pertraktacje ze stronami konfliktu. Niemal natychmiast znalazł się w impasie. Izrael naciskał na jak najszybsze rozpoczęcie rozmów pokojowych, traktując zdobyte terytorium jako polisę bezpieczeństwa podczas gdy państwa arabskie (oprócz Syrii, która odmówiła na wstępie jakichkolwiek rozmów dyplomatycznych) uważały zwrot owych terytorium jako gest dobrej woli, bez którego nie może być mowy o rozmowach pokojowych. Nie widząc możliwości wyjścia z impasu, strona arabska zerwała negocjacje. Sześć lat później podjęła zaś kolejną próbę siłowego rozwiązania kwestii istnienia Izraela i ponownie przegrała. Wojna Jom Kippur nie była już jednak dla Izraela tak miażdżącym zwycięstwem, jak wojna sześciodniowa, zaś podczas rozmów musiał się on zgodzić na oddanie części zdobytego terytorium. W roku 1978 i 1979 podpisano odpowiednio porozumienie w Camp

David i traktat pokojowy izraelsko-arabski. Choć Ziemia Święta dalej wstrząsana była wojnami, nie doszło jednak już więcej do kolejnych wojen z koalicją państw arabskich, choć do konfliktów zbrojnych dochodziło jeszcze wielokrotnie. Innym skutkiem było zaognienie starć w Jerozolimie.

Brak akceptacji zaproponowanego przez ONZ kompromisu dotyczącego podziału Jerozolimy skłonił Izrael do zmiany stanowiska. Po 1967 zawieszono zakaz osiedlania się Żydów we wschodniej części miasta, zaś rząd Begin wręcz do tego zachęcał. W obliczu niemożności wdrożenia rozwiązań dyplomatycznych (przypomnijmy, że świat arabski długo odmawiał nawet uznania istnienia państwa Izrael) zdecydowano się na metodę faktów dokonanych, w tym wypadku zmianę struktury narodowościowej. Dla społeczności międzynarodowej wykładnią jest jednak Rezolucja nr 242, przyjmująca za punkt wyjściowy status quo ante bellum, a więc zdecydowanie bezpieczniejsza, niż szukanie nowego punktu wyjścia w izraelsko-arabskich negocjacjach. Czy jednak wspomniana rezolucja ma jeszcze szansę sprawdzić się w tej roli?

W tym miejscu zasadnym jest postawienie pytania, czy kiedykolwiek się sprawdziła. Natychmiast po jej wystosowaniu przez Radę Bezpieczeństwa doprowadziła ona do opisywanego już impasu w rozmowach. Na domiar złego, odwoływanie się do niej teraz oznacza próbę działania na podstawie sytuacji sprzed 50 lat, co nie rokuje szans powodzenia. Co ważniejsze, trzymanie się tejże podważyłoby Porozumienie z Oslo i istnienie Autonomii Palestyńskiej. Wprawdzie jedynym państwem wymienionym w treści rezolucji z nazwy jest Izrael, jednak jako strony porozumienia uznaje się tylko belligerentów, istnieją więc solidne podstawy, by przy cofaniu się do granic sprzed 5

czerwca 1967 roku nie uznać istnienia Palestyny. Konieczne jest wypracowanie nowego stanowiska, nie zaś odwoływanie się do Rezolucji nr 242.

Tym dziwniejsze jest, więc tutaj posunięcie administracji Obamy, która pozwoliła na przyjęcie Rezolucji nr 2334. Należy tu wyjaśnić, że tradycyjny parasol ochronny, który nad swym najbliższym sojusznikiem w regionie trzyma USA jest tak mocno zakorzeniony, że wstrzymanie się od głosu podczas przyjmowania zaproponowanej przez Egipt rezolucji uznano za wbicie sztyletu w plecy. Obrońcy tego posunięcia wskazują na to, że jej punkt drugi żąda zaprzestania żydowskiej akcji osadniczej we Wschodniej Jerozolimie, co można zrozumieć jako żądanie odstąpienia od polityki faktów dokonanych i tym samym swoistego „pełzającego podboju” arabskiej części Jerozolimy. Jej punkt pierwszy jednak uznaje wszystkie zajęte w wyniku wojny sześciodniowej tereny za pozostające pod okupacją izraelską. Rząd Netanjahu poczuł się więc zdradzony przez swego sojusznika, który w ten sposób jednoznacznie opowiedział się po stronie państw arabskich i Palestyńczyków. Posunięcie to było tak niezrozumiałe i bezzasadne, że trudno się dziwić części komentatorów, widzących w nim czystą złośliwość Obamy, który zostawił Trumpowi poważną minę dyplomatyczną (rezolucję przyjęto 23 grudnia 2016, a więc już po wygraniu wyborów przez aktualnego prezydenta).

Porozumienie z Oslo, regulujące wiele kwestii w kontaktach izraelsko-palestyńskich, nie zamykało jednak kwestii. Artykuł V wykluczał z porozumienia status Jerozolimy, pozostawiając jego określenie osobnym rozmowom pokojowym, które miały się zacząć na podstawie

zapisów traktatu. Jak łąco można się domyślić, rozmowy te nigdy nie doszły do skutku ani tym bardziej nie zakończyły się wypracowaniem racjonalnego porozumienia.

*USA nie pełnią na Bliskim
Wschodzie roli mediatora z
racji na swą reputację
bezstronnego czynnika, lecz z
racji siły*

Przyczyną tego jest ufortyfikowanie się obu stron na swoich pozycjach negocjacyjnych. I Żydzi i Arabowie traktują Jerozolimę za swoje miasto, i

odmawiają drugiej stronie prawa do niego. W tej sytuacji nie pozostało im nic prócz wiecznych negocjacji bez szans na rozwiązanie.

Kompromis zaproponowany przez ONZ w 1947 roku nie rozwiązywał tej kwestii w żaden sposób, ale gwarantował, że obie strony będą się czuć poszkodowane, co nie da żadnej z nich przewagi w wysuwaniu roszczeń. Trudno jednak wymagać od Izraela przystania na układ sprzed osiemdziesięciu lat po odparciu trzech prób wymazania swego istnienia z mapy. Od 1993 roku żadna ze stron nie posunęła się ani o jotę, a pokój w Ziemi Świętej wydaje się dokładnie tak samo odległy, jak wcześniej.

6 grudnia 2017 roku Donald Trump zapowiedział uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela i przeniesienie tam ambasady USA. Jego deklaracja wywołała medialną nawałnicę, oskarżono go o sprzyjanie Izraelowi, torpedowanie bliskowschodniego procesu pokojowego i pozbawianie się roli mediatora w konfliktach w regionie. Na ile podstawne są te oskarżenia?

Zacząć można od tego, że nie jest to do końca pomysł prezydenta Trumpa. Decyzję podjął Kongres Stanów Zjednoczonych ogłaszając 24 października 1995 roku Ustawę o Ambasadzie w Jerozolimie. Administracje kolejnych prezydentów tylko je czasowo odraczały. Jeśli chodzi o oskarżenie o torpedowanie procesu pokojowego, to można by odpowiedzieć lapidarnym pytaniem „jakiego procesu?”, do tej kwestii jednak jeszcze wrócimy. Skupmy się najpierw na zarzutach o pozbawianie się roli mediatora i faworyzowanie Izraela, które się w naturalny sposób wykluczają. Po pierwsze, USA nie pełnią w regionie roli mediatora z racji na swą reputację bezstronnego czynnika, lecz z racji siły. Stany dysponują na tyle szeroką siecią interesów gospodarczych i politycznych, mają na tyle potężne siły militarne i wystarczającą przewagę gospodarczą, by móc ustawić się na pozycji mediatora w większości konfliktów. Niesłuchanie symboliczna jest tutaj fotografia z podpisywania Porozumień z Oslo, gdzie Icchak Rabin i Jaser Arafat podają sobie dłonie, w ich tle stoi zaś Bill Clinton z rozłożonymi rękoma. Wiara w pozycję bezstronnego mediatora państwa, które zwane jest Wielkim Szatanem (w odróżnieniu od Małego Szatana, czyli Izraela) jest nieporozumieniem równie wielkim, co zakładanie, że ktokolwiek na Bliskim Wschodzie traktuje Waszyngton jako niezależnego arbitra. Dlatego też opowiedzenie się w tym wypadku po stronie Izraela niczego nie zmieni, obecność USA w bliskowschodnich konfliktach nie jest bowiem efektem zaufania państw regionu do Stanów, lecz wypadkową konieczności, kalkulacji i przymusu. Obojętnie, od tego czy ambasada USA znajduje się w Jerozolimie czy Tel Avivie, stoi za nią taka sama potęga. Co do sprzyjania Izraelowi, to jest to prawda na takiej samej zasadzie, na jakiej przyzwolenie Obamy na Rezolucję nr 2334 było działaniem obliczonym na sprzyjanie Palestyńczykom. Silny sprzymierzeniec w Ziemi Świętej jest Stanom potrzebny dokładnie tak samo, jak był

potrzebny w okresie zimnej wojny i wciąż pozostaje nim Izrael. Naczelnym argumentem przeciw zaakceptowaniu stanu faktycznego jest deklaratywne uznanie Jerozolimy stolicą przyszłego państwa palestyńskiego. Trudno jest powiedzieć, czy posunięcie to łamie prawo międzynarodowe, bowiem Regulacja Zgromadzenia Ogólnego ONZ nr 181, dająca Jerozolimie status *corpus separatum*, tego nie precyzuje. Zagadnienie poruszył dopiero trzeci raport o postępie prac Komisji Rozjemczej z 27 sierpnia 1949 roku, gdzie w uwagach do artykułu czwartego zaproponowano, by ani Żydzi, ani Palestyńczycy nie mogli traktować tego miasta jako swojej stolicy. W takiej sytuacji zarówno stan faktyczny jak i deklaracyjny byłyby pogwałceniem rezolucji ONZ. Z trzeciej jednak strony 28 października 2009 sekretarz generalny Ban Ki Moon wygłosił oświadczenie uznające Jerozolimę za stolicę zarówno Żydów, jak i Palestyńczyków, co byłoby zarówno pierwszą akceptacją stanu faktycznego, jak i wyrażeniem pozwolenia na przeprowadzenie analogicznej sytuacji przez Palestynę, co stanowi precedens dla posunięcia Trumpa.

Torpedowanie procesu pokojowego łączy się też z innym zarzutem, o prowokowanie do wybuchu działań wojennych. Należy jednak mieć w pamięci, że ów proces pokojowy naprawdę jest raczej z dziedziny pobożnych życzeń niż politycznych faktów. Rozmowy między Izraelem i Autonomią Palestyńską utknęły w martwym punkcie ponad dwadzieścia lat temu. Stan aktualny można by określić jako „wieczne negocjacje”: z jednej strony nie ma szans na ich pomyślne zakończenie, z drugiej zaś ich zerwanie skłoniłoby obie strony do zastosowania rozwiązań bardziej bezpośrednich, co nikomu nie jest na rękę. Mówimy więc o medialnej i politycznej fikcji, nie zaś faktycznym procesie pokojowym. Światowi i regionalni przywódcy wolą problemu nie ruszać, bowiem na tą chwilę osiągnięto pewnego rodzaju stabilność, nie da się jej jednak uznać za faktyczny proces pokojowy. Czy zaś

posunięcie to okaże się niebezpieczne, zależy to w większej mierze od przywódców w regionie. Po pierwsze, po oświadczeniu Ban Ki Moona nie doszło do eskalacji konfliktu, on zaś uznał prawo Izraela do Jerozolimy jako pierwszy. Po drugie, Święte Miasto już jest stolicą Izraela. Dżentelmeńska umowa między krajami, która przewiduje umieszczanie ambasad w Tel Avivie, nie zmienia tego faktu. Argumenty strony arabskiej, że będzie to zawłaszczenie miasta są spóźnione, bo to miało już miejsce. Jeśli przejęcie miasta przez Żydów jest odebraniem Arabom ich świętego miejsca, to utracili je oni już wiele lat temu i proces ten został parokrotnie potwierdzony. Przeniesienie ambasady stanie się więc iskrą tylko, jeśli tak zostanie przedstawiona i wykorzystana przez inne czynniki polityczne.

Bliskowschodniego procesu pokojowego nie można zaliczyć do politycznych faktów. Rozmowy między Izraelem i Autonomią Palestyńską utknęły w martwym punkcie ponad dwadzieścia lat temu

Czy zaś owe czynniki to wykorzystają, to otwarta kwestia. Po pierwsze, sprawa palestyńska interesuje głównie Palestyńczyków, inne państwa regionu traktują ją bardzo instrumentalnie. Mamy tendencję do patrzenia na świat

arabski jako na monolit, podczas gdy jest on bardzo skonfliktowany i niespójny. Aktualnie największym dla niego zagrożeniem nie jest Izrael, lecz Teheran. Palestyna jest w tym wypadku czynnikiem raczej niewygodnym, utrudniającym skoordynowanie działań Rijadu, Waszyngtonu a nawet Izraela. O ile przywódcy duchowi na pewno nawoływać będą do dania odporu i ratowania świętego miasta, o tyle

przywódcy polityczni mogą być już o wiele bardziej powściągliwi. Iran i Izrael to zaprzysięgli wrogowie i należy się spodziewać, że inne strony polityczne, z Saudami na czele, będą chciały to wykorzystać kosztem niezbyt silnej, ani tym bardziej potrzebnej Autonomii Palestyńskiej.

Na koniec wreszcie należy postawić pytanie, czym było podyktowane posunięcie Trumpa. Na tą chwilę jesteśmy tutaj w mniej więcej podobnym stopniu skazani na domysły. Z pewnością wpisuje się w jego styl prowadzenia polityki zagranicznej, bowiem nie po raz pierwszy stawiałby on na posunięcie nieszablonowe i nieprzewidywalne. Może być to element budowy takiego właśnie stanowiska w polityce międzynarodowej. Zgodnie z jego własnym oświadczeniem, miało to być spełnienie obietnicy wyborczej, co jest prawdą. Tak samo zresztą jak to, że obietnicę ową składał każdy poprzedni prezydent i każdy ją łamał. Drugim powodem, jaki podał Trump, jest próba znalezienia wyjścia z impasu i pchnięcia rozmów izraelsko-palestyńskich nowym torem. Zgodnie z jego wypowiedzią, dotychczasowe podejście ma już 20 lat i nie przyniosło rezultatu, czas więc spróbować czegoś nowego. Jakkolwiek paradoksalnie to nie zabrzmiało, w tym szaleństwie może być metoda. Palestyńczycy są podzieleni zaś rząd Autonomii nie należy utożsamiać z Hamasem. Jak dotąd kwestia Jerozolimy całkowicie blokowała negocjacje, żadna ze stron nie mogła w tej kwestii ustąpić. Jeśli po stronie palestyńskiej istnieje w którejś frakcji wola porozumienia, to może ona teraz próbować rozegrać negocjacje bez Jerozolimy, oczywiście dopiero po tym, jak nastroje się uspokoją. W tej sytuacji nie będzie to kapitulacja przed Izraelem i ustąpienie w pozycji negocjacyjnej, lecz przystąpienie do nowych rozmów w nowej sytuacji. Być może jest to jakieś rozwiązanie dla Bliskiego Wschodu.

Przemysław Mrówka

Fot. PAP